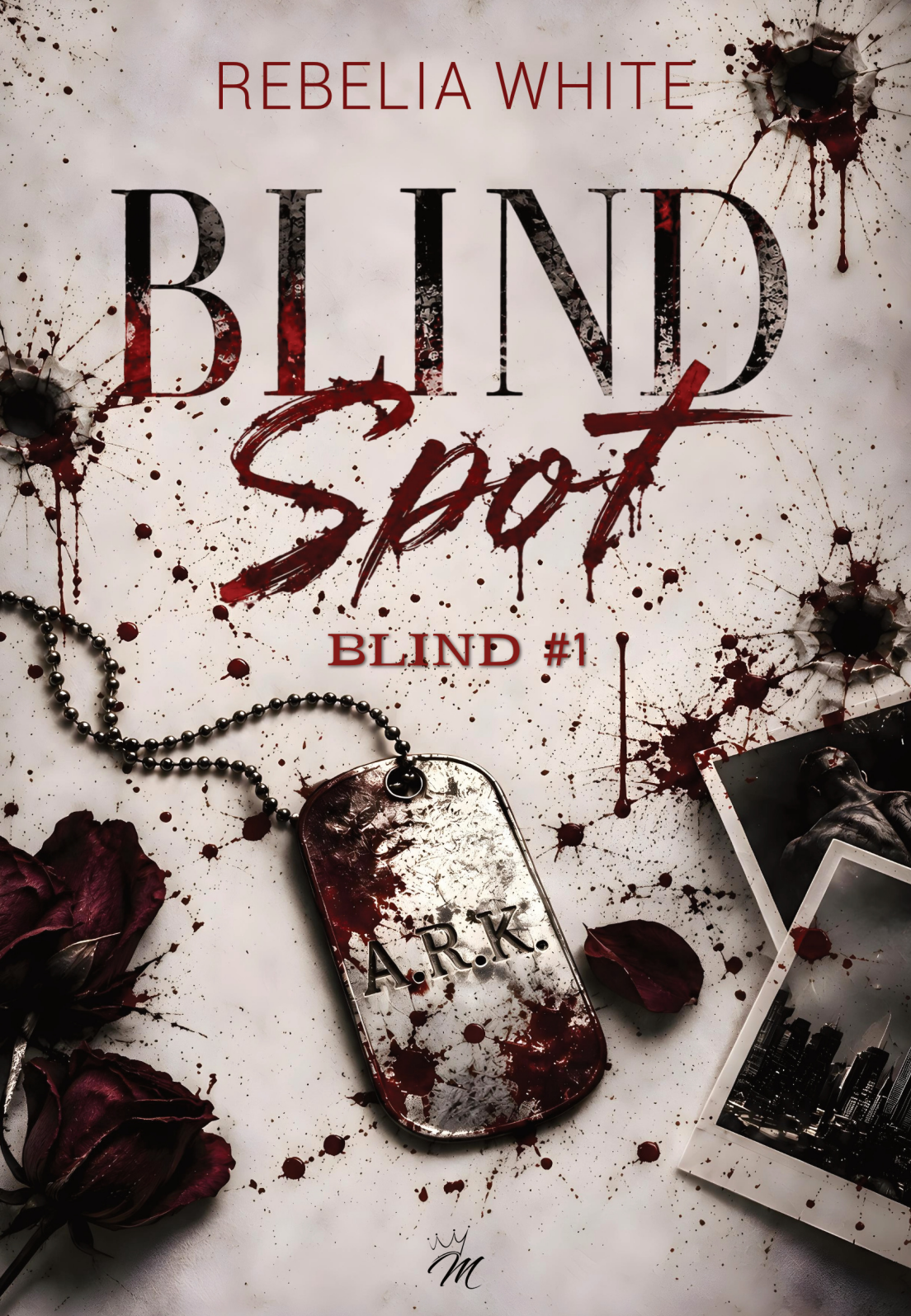
REBELIA WHITE

BLIND Spot

BLIND #1



REBELIA WHITE

BLIND Spot

Copyright © by REBELIA WHITE
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Anna Łakuta
Korekta: Agnieszka Liszowska
Opracowanie okładki: K&K Designer
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Pomysł na okładkę: MOJE WYDAWNICTWO

ISBN Papier: 978-83-68837-49-0
ISBN Ebook: 978-83-68837-50-6

Moje Wydawnictwo

www.mojewydawnictwo.pl
wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
mojewydawnictwo
mojewydawnictwo
moje.wydawnictwo
mojewydawnictwo

Dla wszystkich, którzy nie mieli czasu na bycie dzieckiem, a zamiast marzyć, musieli stoczyć cudze wojny. I mimo wszystko odważyli się je wygrać.



Prolog

Ból czyni cię silnym. Strata czyni cię potężnym.
Cassandra Clare, „Miasto zagubionych dusz"

Wydawać by się mogło, że dzieciństwo to czas beztroski, niewinności i pierwszych przyjaźni. Tak przynajmniej wynikało z opowieści innych. W teorii powinniśmy mieć twarze brudne od szalonej zabawy, a nie od błota z leśnych poligonów. Powinniśmy być dziećmi. W praktyce byliśmy nimi tylko według metryki.

Ojciec zdawał się zapominać, że dzieci potrzebują czasu, by poznawać świat w swoim tempie. Nie interesowały go nasze potrzeby, a już na pewno nie nasze pragnienia. Każdy weekend spędzaliśmy z dala od domu. W lasach, czasem w górach, a niekiedy nad jeziorem. Rozbijaliśmy obóz i przez dwa dni funkcjonowaliśmy bez kontaktu ze światem, bez telefonów, bez cywilizacji. Te wyjazdy nie były wycieczkami. Okazywały się szkoleniem. Ojciec traktował nas jak rekrutów, a nie jak własne dzieci. Uczył nas wszystkiego, co według niego mogło pomóc nam przetrwać w trudnych czasach – technik walki wręcz, survivalu, obsługi broni palnej i białej, a nawet podstaw kryptografii.

Miałam dziesięć lat i żadna z tych umiejętności nie była mi do niczego potrzebna. On jednak sądził inaczej. Na początku nienawidziłam tych wyjazdów. Nienawidziłam walk z Jasonem, do których nas zmuszał, i tego, że nie mogłam zadzwonić do mamy. A potem… wszystko się rozmyło.

Nie potrafiłam wskazać momentu, w którym lalki Barbie przestały mnie interesować, a koleżanki ze szkoły stały się tylko tłem. Przyszedł czas, że wyczekiwałam tych wyjazdów. Nie z obowiązku, lecz z potrzeby. Przyszło to naturalnie. Może nawet zbyt naturalnie. Wygrywanie stało się moją podstawową potrzebą. Musiałam być najlepsza. W każdej walce, w każdym zadaniu i w każdym kolejnym wyzwaniu. Ojciec tego od nas wymagał.

Wobec Jasona pozostawał bardziej surowy, mnie czasem oszczędzał. Mimo to w wieku piętnastu lat czułam się lepiej z pistoletem w dłoni niż ze smartfonem. A wygrana bójka z bratem, sprowokowana przez ojca, znaczyła więcej niż jakakolwiek ocena w szkole. Z dzisiejszej perspektywy wiem, że to było toksyczne. Jego metody wydawały się brutalne, podejście niszczące. A mimo to, w pewnym sensie, dał mi więcej niż szkoła.

Z czasem wszystko zaczęło się zmieniać. Pojawiły się pytania, lecz nie znałam na nie odpowiedzi, jakby cała dotychczasowa rzeczywistość pozostawała tylko wierzchołkiem góry lodowej. I wtedy zaczęłam dostrzegać rzeczy, których wcześniej nie widziałam. Ślady prowadzące do miejsc, o których nie miałam pojęcia, i śmiertelnie niebezpieczna prawda. Dopiero gdy stanęłam na krawędzi wszystkiego, co znałam, zrozumiałam, po co były te wszystkie zimne noce, zdarte dłonie i krzyk rozkazów zamiast słodkich kołysanek.

W tym perfekcyjnym planie przetrwania jednak znalazła się luka. Ojciec nauczył mnie rozpoznawać wroga, ale nie powiedział, co zrobić, gdy ten wróg stanie się jedyną osobą, przy której potrafię oddychać. Nie ostrzegł mnie, że największe niebezpieczeństwo przyjdzie pod postacią kogoś, kto zrozumie mój mrok lepiej niż ja sama.



Rozdział I: Początek

Dlatego nie lubię zamykać oczu, bo wtedy ludzie znikają. A jeśli znikają, nigdy nie wiadomo, czy wrócą.
Cassandra Clare, „Miasto zagubionych dusz"

Próbowałam skupić się na wykładzie. Socjopatia od zawsze mnie fascynowała – jej złożoność, zimna logika, granicząca z czymś niemal bliskim geniuszowi, a akurat tego dnia wykładowca wreszcie poruszył temat w sposób, który zdołał mnie porwać. Chłonęłam każdą informację docierającą do moich uszu, niesioną po bogato zdobionych ścianach auli, starałam się zapisywać wszystko, co wydało mi się ważne, ale w pewnym momencie sapnęłam pod nosem i odrzuciłam długopis na biurko. Moja komórka nie przestawała dzwonić. Dwudziesty raz? Naprawdę? Miałam ochotę roztrzaskać ją o podłogę tylko po to, by przestała wibrować. Jason wydzwaniał od jakiegoś czasu, ale początkowo się tym nie przejmowałam. Uznałam, że jeśli miałby mi coś ważnego do powiedzenia, zrobiłby to jak normalny człowiek, kiedy druga osoba nie może odebrać, i napisałby wiadomość. Tyle że

ona nie nadchodziła, a telefon wciąż uparcie brzęczał, sprawiając jedynie, że coraz bardziej zalewała mnie frustracja.

W końcu wstałam, zaciskając mocno palce na dotykowym wyświetlaczu. Przez moment nawet się wystraszyłam, że go zepsuję, więc nieco odpuściłam. Bezszelestnie wydostałam się na korytarz i przywarłam plecami do zimnej ściany, a następnie odebrałam kolejne już połączenie. Jak tylko usłyszałam pierwszy dźwięk w słuchawce, od razu odsunęłam urządzenie od ucha i się skrzywiłam. Zesztywniałam, czując, jak przez całe ciało przepływa dziwny, bardzo nieprzyjemny prąd.

– Jason? – spytałam z niepokojem w głosie.

Oddech mi przyspieszył. I wtedy, jakby w odpowiedzi na moje słowa, rozległ się ostry huk. Po nim nastąpiły kolejne dźwięki przypominające tłuczone szkło. Nieprzyjemne odgłosy wywoływały w moim ciele reakcję, która sprawiła, że cała się spięłam. Serce zaczęło mi walić jak młotem, a oddech przyspieszył. Wiedziałam, że dzieje się coś złego.

Żyliśmy w realiach, w których wszystko było możliwe. Nie istniały rzeczy niemające prawa się wydarzyć. Nim dopuściłam do jakichkolwiek rozważań, rzuciłam się do biegu. W ekspresowym tempie pokonałam długi, wyłożony marmurem korytarz, aż dotarłam do ciężkich dwuskrzydłowych drzwi. Popchnęłam je mocno i wypadłam na zewnątrz. Ostre promienie słońca oślepiły mnie na moment, przez co musiałam zasłonić dłonią oczy, by rozejrzeć się za swoim samochodem. Z tego wszystkiego zapomniałam, gdzie zaparkowałam.

Gdy mój wzrok zatrzymał się na czarnym Chevrolecie Malibu, odkleiłam stopy od podłoża i ponownie zaczęłam biec. Dłonie drżały mi niekontrolowanie, kiedy próbowałam otworzyć pojazd. Pozwoliłam na chwilę, aby stres przejął kontrolę nad moim ciałem, przez co zmarnowałam zbyt wiele czasu. Nie zdążyłam zamknąć drzwi, a już z piskiem wyjeżdżałam z parkingu uczelni, przecinając niezgrabnie dwa pasy naraz. Zignorowałam nerwowych kierowców i odgłosy klaksonów, które wybrzmiały, gdy tylko włączyłam się do ruchu.

Powiedzieć, że przepełniał mnie strach, to tak, jakby nie powiedzieć nic. Wiedziałam, że mój brat nie wiódł życia zgodnego z kodeksem moralnym standardowego człowieka, dlatego pozostawałam gotowa na wszystko. Codziennie, budząc się ze snu, bałam się tego dnia. Dnia, w którym ten cały syf się posypie i spadnie nam na głowy. Jason nie był złym człowiekiem, ale znalazł sobie zajęcie niebezpieczne w równym stopniu co balansowanie na cienkiej linie między wieżowcami… tak dla zabawy. Są dwie opcje – albo ci się uda i przejdziesz na drugą stronę, albo spadniesz i wszystko się skończy.

Co prawda, nawet jeśli miałam tego bolesną świadomość, to mimo wszystko nie chciałam dopuścić do tego, żeby spadł. Nie zostało mi zbyt wiele bliskich osób. Jason i ja zawsze byliśmy dla siebie oparciem, więc chłopak odgrywał w moim życiu rolę przyjaciela, brata, rodzica, opiekuna i nauczyciela. To on mnie wszystkiego nauczył, on dał mi możliwości i perspektywy… to właśnie Jason zaszczepił w moim umyśle ambicje. I nie wyobrażałam sobie, że mogłabym go stracić. Jego wkład w moją codzienność był zbyt ważny, żebym mogła sobie poradzić bez niego.

Przejechałam na czerwonym świetle przez jezdnię, po raz kolejny ignorując zbiorowy koncert klaksonów. Adrenalina zapulsowała w moich żyłach z taką intensywnością, że niestraszna była mi nawet śmierć. Miałam wrażenie, że w tym momencie nie mogłaby mnie dosięgnąć. Czułam się niezniszczalna.

Na czoło wystąpiły pierwsze krople potu, a przez całe moje ciało przeszedł nieprzyjemny prąd, wzmagający się z każdym pokonanym kilometrem przybliżającym mnie do dzielnicy blokowisk, w której mieszkaliśmy. Gdy znajome dachy budynków wyłoniły się na horyzoncie, niemal zakręciło mi się w głowie.

West Hollow nawet na mapach prezentowało się ponuro. Dzielnica położona na zachodnich obrzeżach Blackridge od lat borykała się z rosnącą przestępczością, będąc zmorą dla tutejszych przedstawicieli prawa. Próżno tu szukać eleganckich budynków z równo przystrzyżoną trawą i basenem, zamiast tego był popękany asfalt i bujne kępki chwastów wyrastających ze szczelin zu-

żytej nawierzchni. Ściany rozpadających się budynków pokrywały często psychodeliczne prace grafficiarzy, tworząc w połączeniu z zepsutymi latarniami atmosferę pełną niebezpieczeństwa.

Tutaj nie przechodziła bez echa wizyta osób z zewnątrz. Nie dało się przejść przez West Hollow niezauważonym, bo z każdej meliny, z każdej wnęki między budynkami na ulicę łypały rozmyte spojrzenia, kontrolując najdrobniejszą zmianę. Ulice były ciasne, zapchane zaparkowanymi byle jak samochodami, z których wiele miało wybite szyby lub brakowało im tablic rejestracyjnych. Przy krawężnikach walały się plastikowe torby, a kosze na śmieci często były przepełnione. Wieczorami echa krzyków i głośnej muzyki mieszały się z przeraźliwymi krzykami.

To miejsce miało swoje własne zasady. Na rogach ulic dało się zobaczyć grupki ludzi, którzy wyglądali, jakby wrośli w ziemię. Niektóre bary i małe sklepy spożywcze miały stalowe kraty na drzwiach, jakby pozostawały przygotowane na wojnę. Nawet w biały dzień czuło się tu napięcie. Niektórzy twierdzili, że kiedyś West Hollow miało potencjał, że było miejscem, gdzie pracowali zwykli ludzie, zanim kolejne kryzysy ekonomiczne i wzrost przestępczości sprawiły, że wielu stąd uciekło. Teraz wydawało się już tylko cieniem samego siebie, miejscem, do którego nie wchodziło się bez powodu. W West Hollow każdego, kto tu nie mieszkał, traktowano jak obcego. A obcy rzadko wychodzili stąd bez szwanku. No, a na pewno nie z telefonem i pełnym portfelem.

Zignorowałam grupkę mężczyzn, która ulokowała się tuż przy krawężniku pod budynkiem, w którym mieszkałam. Wjechałam samochodem niemal pod ich nogi. Wyleciałam z pojazdu jak poparzona i trzasnęłam drzwiami.

– Co tak agresywnie, Kylie? – mruknął jeden z nich, kiwając do mnie głową. Chyba nazywał się Roger albo tylko tak na niego wołali.

Rzuciłam mu wymowne spojrzenie i przepchnęłam się pomiędzy mężczyznami, którzy śmiejąc się pod nosem, odskoczyli na bok.

– Dzisiejsza młodzież… wiecznie się gdzieś spieszy – dodał kolejny z grupowiczów, nieco sepleniąc.

Dotarłam do starej, ledwie wiszącej w zawiasach bramy, której farba łuszczyła się na betonową posadzkę, i popchnęłam drzwi. Znajomy zapach od razu we mnie uderzył, ale to wcale nie sprawiło, że było lepiej. Wręcz przeciwnie, odnosiłam wrażenie, że wszystkie mięśnie w moim ciele zapłonęły od wzmagającego się napięcia. Chwyciłam za zakręcaną stalową poręcz wykończoną śliskim materiałem i zaczęłam wspinać się na górę. Mieszkaliśmy na czwartym piętrze, a do pokonania miałam całkiem sporą ilość drobnych schodów.

Docierając na górę, oddychałam ciężko, jakbym przebiegła maraton. Stanęłam jak wryta, wgapiając się w rozchylone drzwi, i właśnie wtedy moje serce omal nie eksplodowało. Choć wiedziałam, że nie mam czasu do stracenia, to i tak nie mogłam się ruszyć. Nogi wrosły mi w podłogę, a reszta ciała odmówiła współpracy. Słyszałam jedynie krzyk w głowie, który nakazywał mi się ruszyć. Płuca piekły z braku tlenu, ale bałam się poruszyć, więc jedynie zacisnęłam mocniej palce na poręczy.

– Jason?! – zawołałam słabym głosem, ale odpowiedziała mi jedynie głucha cisza.

Odkleiłam stopy od podłoża i powoli wychyliłam się w głąb mieszkania. Natychmiast cała zadrżałam. Wszystko było powywracane do góry nogami, rozwalone meble i szkło zdobiły podłogę. Gdzieniegdzie mogłam dojrzeć plamy krwi, których widok jeszcze bardziej przyspieszył bicie mojego serca. Zawirowało mi w głowie. Musiałam podtrzymać się ściany, by nie upaść.

– Jason! – krzyknęłam jeszcze raz, ale i tym razem mężczyzna nie odpowiedział.

– Kylie…? – rozległ się męski głos za moimi plecami.

Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam na zaniepokojoną twarz Masona. Chłopak przyjaźnił się z moim bratem od dzieciaka, a do tego był naszym sąsiadem.

Ulżyło mi, że się pojawił.

– Stało się coś złego – stwierdziłam z napięciem. – Gdzie jest mój brat? – zapytałam, a w moim głosie wybrzmiało oskarżenie, jakby Mason był winien całej tej sytuacji. Choć nie to miałam na

myśli, to i tak skrzywienie na twarzy chłopaka sprawiło, że nieco się zmieszałam. Przetarłam dłońmi oczy i cicho westchnęłam. – Dzwonił do mnie, kiedy byłam na uczelni, słyszałam jakieś huki i inne niepokojące odgłosy, a teraz… – przeciągnęłam, machając rękoma.

– Nie mam pojęcia… – powiedział Mason, a jego brwi ściągnęły się ku sobie, gdy przyglądał się bałaganowi w mieszkaniu. Mówił nieco przyciszonym tonem, jakby nie był pewien, czy ktoś nas nie podsłuchuje. Podszedł do mnie i delikatnie chwycił za ramię, odciągając do tyłu. – Zaczekaj tu – polecił i ze skupieniem, bardzo powoli wszedł do środka, rozglądając się badawczo po kątach.

Nie zamierzałam dyskutować. Wycofałam się z mieszkania i oparłam plecy o zimną ścianę. Mimo wszystko nie byłam w stanie opanować chaosu, jaki wybuchł w mojej głowie. Chciało mi się płakać, bo nie wiedziałam, co się stało z bratem ani gdzie się teraz podziewał. Czy właściwie jeszcze żył. Obraz, jaki miałam przed sobą, wcale nie świadczył o niczym dobrym.

Po chwili Mason wrócił do mnie, a jego twarz zdradzała więcej niż tysiąc słów. Niepokój odbił się w spojrzeniu wielkich, brązowych oczu, sprawiając, że nogi zaczęły mi miękнąć.

– Co? – sapnęłam.

– Nie wygląda to dobrze, Kylie – rzucił, drapiąc się po karku. – W domu jest pełno krwi… – dodał i tym razem nie zdołałam już wstrzymywać łez. Pozwoliłam, żeby spłynęły po policzkach, co wyraźnie uderzyło w chłopaka, bo natychmiast westchnął i przyciągnął mnie do siebie.

Gardło miałam ściśnięte, jakby każda możliwa odpowiedź ugrzęzła gdzieś głęboko we mnie, sparaliżowana bólem i strachem. Żadne słowa nie pasowały. Wszystkie wydawały się niewystarczające. Każde słowo brzmiałoby fałszywie, jak tani żart rzucony w twarz tragedii.

– Nie wiesz, czy Jason wpakował się w jakieś kłopoty? – mruknęłam cicho po dłuższej chwili ciszy.

Udało mi się na moment lekko odprężyć, kiedy tak mnie do siebie przytulał. Otrzymałam ulotne, bardzo złudne poczucie bezpieczeństwa, jakby wszystko, co działo się poza granicami jego ramion, nie dotyczyło mnie.

Prawda była jednak nieco bardziej brutalna i czułam, że przekonam się o tym szybciej, niż mi się wydawało.

– Nie, nic mi nie mówił… Niczego nie zauważyłem. Wszystko szło zgodnie z planem.

Zmrużyłam lekko oczy i uniosłam głowę, by na niego spojrzeć, przez co między nami pojawił się dystans, a uczucie bezpieczeństwa prysło szybko jak bańka mydlana, rozmywając się w powietrzu.

– W zasadzie, co szło zgodnie z planem? – spytałam, marszcząc brwi. Chłopak natychmiast uciekł spojrzeniem w bok, zdradzając, że coś ukrywa. Nie chciał patrzeć mi w oczy, kiedy kłamał. – Hej… Mason! – zawołałam, łapiąc go za nadgarstek. – Co szło zgodnie z planem?

– Nic… to znaczy wszystko. – Pokręcił głową. – Zły dobór słów, wybacz. Nie mam niczego konkretnego na myśli – wyjaśnił, zabijając ostatki nadziei kiełkujące w moim sercu. – Nie wiem, co się wydarzyło, ale zaczynam się poważnie niepokoić.

– Kurwa – rzuciłam w powietrze, ponownie przywierając plecami do ściany.

Bałam się wejść do własnego mieszkania. Bałam się, że gdy tylko przyjrzę się bliżej temu, co się tam działo, wpadnę w jeszcze większą panikę. Strach bywał największym wrogiem zdrowego rozsądku, a właśnie tego potrzebowałam teraz bardziej niż czegokolwiek innego. Nie mogłam pozwolić, aby emocje wzięły nade mną górę. Nie mogłam się rozpaść, bo być może mój brat mnie potrzebował.

Mason, choć widocznie zdenerwowany, próbował ukryć zdenerwowanie pod maską spokoju. Na siłę chciał mi pokazać, że nie rusza go aż tak bardzo, jak mi się wydawało, ale prawda była taka, że znałam go zbyt dobrze, by nie rozpoznać kłamstwa.

– Może wróci wieczorem – rzucił luźno i się uśmiechnął. Wymuszenie i brak szczerości w jego gestach były wręcz namacalne.

Ciekawiło mnie, co miał na myśli, wspominając o planie. Czego mi nie mówił i, przede wszystkim, dlaczego mi tego nie mówił? Wydawało mi się, że Jason i ja nie skrywamy przed sobą tajemnic, a przynajmniej ja tego nie robiłam. I przez to chciałam wierzyć, że on również odpłacał mi szczerością za szczerość.

Spojrzałam na Masona i mięsień na moim policzku drgnął nerwowo. W środku aż kipiałam. Kłamał. Bezwstydnie, bez zająknięcia, z tym swoim cholernie spokojnym wyrazem twarzy. Patrzył mi prosto w oczy i wciskał brednie, jakby to była zwykła rozmowa. Miał tupet. I to mnie wkurwiało jeszcze bardziej.

– Nie pierdol! – burknęłam, przewracając oczami. – Oboje wiemy, że za tym bałaganem kryje się coś więcej i ty świetnie wiesz, co – dodałam oskarżycielsko i weszłam do mieszkania.

Wolnym krokiem pokonywałam niewielki metraż aż dotarłam do pokoju brata i natychmiast się cofnęłam, uderzając plecami o ścianę, która jakby nagle pojawiła się zaraz za mną. Poduszka była rozcięta, a śnieżnobiałe pierze osiadło na podłodze i roztrzaskanych meblach, gdzieniegdzie przyklejając się do ciemnoczerwonej mazi, od której zapachu kręciło mi się w głowie. Zaczęłam ciężko oddychać, gdy tak przyglądałam się lekko zapadniętemu materacowi noszącemu kilkadziesiąt śladów nacięć i olbrzymią plamę krwi. Łzy spłynęły mi po policzkach. I pozwoliłam, żeby strach wygrał.

Byłam przerażona tym, co widziałam. I wcale nie wierzyłam, że Jason wieczorem wróci do domu. Ewidentnie stało się tu coś złego. Mason stanął obok mnie i cicho westchnął.

– Kylie – zaczął cicho i dotknął mojego ramienia. – Nie powinnaś tutaj zostawać – rzucił, wpatrując się w olbrzymią plamę na łóżku mojego brata. – Cokolwiek się wydarzyło, Jason nie chciałby, żebyś narażała się na niebezpieczeństwo – dodał, pomijając odpowiedź na moje oskarżenia.

Powinnam iść na policję. Każdy rozsądny człowiek zrobiłby to bez wahania. Ale ja… ja doskonale wiedziałam, że prawo nie zostało stworzone dla takich jak my. Dla nas nie istniała sprawiedliwość – tylko wyrok, wydany odgórnie, zanim jeszcze otworzy-

liśmy usta. Byliśmy winni już na starcie. Skazani, zanim w ogóle dano nam szansę na jakąkolwiek obronę. System nie widział w nas ludzi. Tylko zagrożenie, problem, który trzeba wyeliminować, zanim się rozleje.

Zresztą, nie raz i nie dwa rozmawiałam o tym z Jasonem. Za każdym razem słyszałam to samo: „Trzymaj się z dala od glin. Niezależnie od wszystkiego". Wydawał się bezlitosny w tym zakazie. Podejrzewałam, że dla niego śmierć okazałaby się mniejszym kosztem niż odpowiedzialność za wszystko, co zrobił. Może właśnie dlatego tak panicznie unikał zgłaszania czegokolwiek. Bo prawda miała swoją cenę… a jego na nią zwyczajnie nie było stać.

A mimo to… pozostawał jeszcze Dean.

Poznaliśmy się, zanim został policjantem. Wtedy jeszcze wszystko było proste. Żadnych etykiet, żadnych pytań, żadnych zobowiązań. Później… to się zmieniło. On włożył mundur i wziął na barki cały ten cholerny kodeks moralny, w który tak bardzo wierzył. Był uczciwy. Zbyt uczciwy. I, o ironio, właśnie dlatego trzymałam się go tak długo.

Między nami nigdy nie padły żadne deklaracje. To nie była miłość. Dla mnie nie. Dla niego… nie wiem. Może. Może trochę za bardzo chciał, żebym stała się kimś innym. Kimś, kto pasuje do jego świata. Ale ja nigdy nie zamierzałam tam wchodzić. Wiedziałam, że nie zrzuci dla mnie munduru. I dobrze. Bo ja też nie miałam zamiaru niczego z siebie zdzierać.

Nie rozmawialiśmy o pracy. To była nasza niepisana zasada. Ani słowa o tym, co robimy, kim jesteśmy naprawdę. I może właśnie dlatego ten układ w ogóle jeszcze działał. Tylko że czasem zastanawiałam się, jak długo jeszcze uda nam się udawać, że da się żyć w dwóch zupełnie różnych światach i nie rozwalić się przy tym na kawałki.

– I niby co mam robić? – wystękałam bezradnie. – Siedzieć z założonymi rękoma i nie reagować na to, że mój brat zniknął bez śladu, a nasze mieszkanie zostało zdemolowane? Mam czekać na znak od Boga czy innego wybawcy? – sapnęłam z irytacją przez łzy.

– Nie… oczywiście, że nie. Przede wszystkim musisz być bezpieczna, żeby zrobić cokolwiek.

– I gdzie według ciebie mam iść?

– Możesz zatrzymać się u mnie – powiedział spokojnie, robiąc krok w bok, by zasłonić mi swoim ciałem nieprzyjemny widok. Stanął blisko mnie. Na tyle, bym mogła poczuć na twarzy jego oddech.

Mason był przystojnym mężczyzną, cechował się również dobrym sercem. Dla bliskich sobie osób pozostawał naprawdę czuły i opiekuńczy, ale miał też tę drugą twarz – naznaczoną tym samym mrokiem, który widywałam u brata.

Oparłam głowę o umięśnioną klatkę piersiową chłopaka i wciągnęłam głęboko do płuc powietrze wypełnione metalicznym zapachem.

Czułam się oszukana przez życie. Całe dzieciństwo ojciec, wojskowy, wmawiał mi, że system to nasza tarcza, że sprawiedliwość i uczciwość to zasady, na których trzeba budować wszystko. Mówił, że to fundamenty, a one zawsze nas poprowadzą, niezależnie od tego, co się wydarzy. Wierzyłam mu. Byłam pewna, że to jedyne, czego warto się trzymać.

A potem wszystko legło w gruzach.

Kiedy mama zginęła w wypadku, a ojciec, który całe życie wbijał mi do głowy, że trzeba być twardym, że nie ma rzeczy niemożliwych, popełnił samobójstwo, miałam wrażenie, że ktoś wyrwał mi grunt spod nóg. Jakby ten cały znajomy mi świat, w którym każde działanie miało swoje konsekwencje, po prostu przestał istnieć. Zostałam sama, z bratem, na dnie. Na granicy moralności, gdzie każdy dzień był walką o to, żeby przeżyć. Zaczęliśmy grzebać w brudzie, coraz głębiej wchodzić w ten świat, choć nie mieliśmy w niego wpaść, a każda decyzja i wybór sprawiały, że oddalaliśmy się coraz bardziej od ideałów kiedyś będących dla nas jedynym drogowskazem.

Z dnia na dzień traciłam wiarę w to, czego nauczył mnie ojciec. Wszystko, w co wierzyłam, zaczęło się sypać jak domek z kart. System? Tarcza? Jaka tarcza, skoro to MY zawsze zostawaliśmy

na marginesie, ignorowani i zepchnięci w otchłań, do której nikt nie chciał się nawet zbliżyć. Sprawiedliwość? Gdzie ona była, gdy to my dostawaliśmy lanie od rzeczywistości, a nigdy żadnej szansy na obronę? Uczciwość? Kiedy cała nasza rzeczywistość okazała się jednym wielkim oszustwem?

Czułam, jakby życie odwróciło się od nas, jakby wywróciło wszystko do góry nogami. Zdradziło nas. Zdradziło mnie. I teraz, patrząc na wartości, które kiedyś stanowiły podstawę mojego świata, widziałam tylko pustkę. Wszystko, w co wierzyłam, stało się niczym więcej niż iluzją, którą życie brutalnie zmiażdżyło. A ja? Zostałam w tym pieprzonym chaosie, zmuszona żyć w świecie, w którym nie ma zasad, a prawda to tylko luksus, na jaki nie było mnie stać.

– Muszę coś załatwić – rzuciłam sucho, nakręcona złością, niepewnością i poczuciem braku sprawiedliwości. – Odezwij się, gdyby Jason dał znak życia.

– Jasne, ty też daj znać – odpowiedział, ostatni raz rzucając spojrzenie w głąb mieszkania. – Gdybyś potrzebowała bezpiecznego lokum, żeby się przekimać… wiesz, gdzie mnie znaleźć – dodał, a potem kiwnął głową. – Naprawię zamek.

Uśmiechnęłam się ironicznie.

Poczekałam, aż Mason wróci do siebie, a potem szybko wpakowałam do torby najpotrzebniejsze rzeczy i wyszłam na zewnątrz. Rzuciłam posępne spojrzenie na rozwalony zamek i przez moment zawiesiłam się na nim. Następnie przetarłam dłońmi twarz i cicho westchnęłam, ruszając żwawym krokiem po schodach w dół.

Gdy wyszłam zewnątrz budynku, nikt już nie stał pod bramą. Rozejrzałam się wokoło, jakbym była w stanie dopatrzyć się czegokolwiek, co pomogłoby mi w zrozumieniu, gdzie zniknął Jason. Wszystko jednak wyglądało tak samo beznadziejnie jak każdego dnia. Wrzuciłam torbę na siedzenie pasażera, a sama usiadłam za kierownicą. Nie odjechałam od razu, spędziłam kilka minut w totalnym bezruchu, wgapiając się w swoje zaciśnięte na kierownicy dłonie.

Tego dnia czekała mnie jeszcze walka, do której za cholerę nie miałam głowy. Czułam się rozbita i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Pomyślałam, że obicie czyjejś gęby mogłoby mi pomóc w pozbyciu się nadmiaru emocji, ale nie byłam w stanie przestać myśleć o Jasonie. Martwiłam się. Okropnie się martwiłam. Zawsze wiedziałam, gdzie jest, a teraz nie miałam nawet pewności, czy żyje.

Zawsze byliśmy razem. Cokolwiek się działo, mogliśmy znaleźć w sobie nawzajem oparcie. Wspieraliśmy się przy każdej możliwej okazji i wiedziałam, że gdyby to mi groziło niebezpieczeństwo, Jason poruszyłby nawet piekło, żeby mi pomóc. Miałam więc wrażenie, że wraz ze zniknięciem brata straciłam też część siebie. Nie potrafiłam odnaleźć się we wszechświecie, kiedy jego nie było obok. Przeżyliśmy razem zbyt wiele, by jakakolwiek tragedia mogła nas rozdzielić. Dlatego też teraz czułam się taka zagubiona.

Potrzebowałam odetchnąć i uporządkować myśli, więc odpaliłam silnik i ruszyłam spod domu. Oddalając się od surowego West Hollow, wjechałam na główną trasę, która prowadziła prosto do centrum Blackridge, miasteczka, gdzie nowoczesność zderzała się z historią. Było południe, a słońce lało się bezlitośnie, odbijając się od lśniących szyb wieżowców wynurzających się nad miastem. W miarę jak zbliżałam się do centrum, krajobraz nabierał intensywnych barw. Przez szybę widziałam tłumy spieszących się ludzi, na ich twarzach malowały się determinacja, zmęczenie i obojętność.

Każdy zakręt drogi odsłaniał kolejną warstwę miasta, od nowoczesnych biurowców o ostrych, geometrycznych liniach, po stare fabryki, które pozostały świadectwem nieugiętego upływu lat. Choć zewnętrzny świat zdawał się tętnić nieustającą energią, wewnątrz mnie wszystko było jakby w stanie zawieszenia. Po jakimś czasie, gdy droga stopniowo oddalała się od tętniącego centrum, skręciłam w spokojne osiedle domków jednorodzinnych. Zatrzymałam się w końcu przy uroczym, małym budynku z płaskim dachem, który zdawał się wyrastać prosto z okolicznych

wzgórz. Miejsce to, położone na niewielkim wzniesieniu, oferowało panoramiczny widok na centrum miasta, blokowiska i wieżowce kontrastujące z delikatną, spokojną atmosferą osiedla.

Zaparkowałam tuż przy płocie, skąd mogłam obserwować miasto w dole. Mogłam na moment zapomnieć o całym zamieszaniu, czerpiąc ukojenie z tej malowniczej scenerii. Przetarłam dłońmi twarz i cicho westchnęłam.

W końcu jednak otworzyłam drzwi i wysiadłam, chwytając w ruchu za torbę. Podeszłam do czarnej, niskiej bramki, która odgradzała ulicę od terenu należącego do posiadłości. Tutaj było zupełnie inaczej niż w West Hollow. Spokojniej, bezpieczniej… o ile właściwie dało się znaleźć takie miejsce w Kalifornii. Przede mną rozciągał się uroczy ogródek, otaczający schludny, zadbany budynek. Popchnęłam bramkę i weszłam na szutrową, równą ścieżkę, po której obu bokach ustawione były kamyczki prowadzące na ganek.

Zapukałam do dwuskrzydłowych drzwi i przygryzłam dolną wargę, wyczekując, aż ujrzę po drugiej stronie osobę, która działała na mnie niczym antydepresant dający natychmiastowe ukojenie. Po chwili mignął przede mną cień. Otworzyłam szeroko oczy i wstrzymałam na moment oddech. Serce natychmiast zalało się przyjemnym ciepłem, kiedy chłopak pojawił się naprzeciwko mnie. Dean był typem, którego nie da się zignorować, nawet gdybyś bardzo chciała. Wysoki, z mocną, atletyczną sylwetką, której nie dało się nie zauważyć, nawet gdy stał w tłumie. Ciemne włosy zawsze miał nienagannie przycięte, jakby co drugi dzień odwiedzał barbera. Jego postawa… pewna, stanowcza, ale z jakąś delikatną nutą wrażliwości dodawała mu jeszcze więcej uroku. Duże błękitne oczy zatrzymały się na mnie, sprawiając, że od razu wszystkie maski opadły, a łzy spłynęły po moich policzkach.

Na twarzy mężczyzny odbiło się zmartwienie, ale jedynie odsunął się, bym weszła do środka. Nie dotknął mnie, nie odezwał się słowem. Był zbyt dobry i prawy, by zrobić coś, czego bym nie chciała, dlatego zwyczajnie czekał, aż to ja wykonam pierwszy ruch. Zrzuciłam z ramienia torbę, która z hukiem opadła na drew-

nianą podłogę, i spojrzałam prosto w jego oczy, a chwilę później podeszłam bliżej, by wtulić twarz w umięśnioną klatkę piersiową.

– Mogę tu zostać na jakąś chwilę? – wyszeptałam, a jego ramiona szczelnie oplotły mnie w talii, odgradzając od całego zła.

– Co się stało? – spytał spokojnie.

– Mogę?

Zaśmiał się cicho.

– Dobrze wiesz, że tak – odparł i przesunął dłonią po moim kręgosłupie na kark, po czym lekko pogładził go palcami.

Uniosłam głowę, patrząc na niego. Wzrok Deana w jedną chwilę odbił wszystko to, co skrywało moje serce. Ten koleś miał w sobie tyle empatii, że zaczynałam podejrzewać go o czytanie w myślach.

– Coś złego przytrafiło się Jasonowi – powiedziałam krótko, a on zaraz się napiął i chciał się odsunąć, ale go powstrzymałam. – Nie. Nie puszczaj mnie – zażądałam szeptem.

– Co mu się stało? – Westchnął przeciągle i jedynie mocniej mnie przytulił.

– Nie wiem jeszcze, ale muszę go znaleźć. – Wciągnęłam nosem zapach jego wody kolońskiej. – Nasze mieszkanie zostało zdewastowane, wszędzie było pełno krwi i żadnego śladu po moim bracie… – Zaśmiałam się ironicznie z doboru własnych słów. – O ile ta krew nie należy do niego oczywiście.

Dean tym razem odsunął się ode mnie pomimo sprzeciwu i uniósł brwi, rzucając mi pełne obaw spojrzenie.

– Zgłosiłaś to na policję? – wypalił, a ja się skrzywiłam.

– Oszalałeś? – wyburczałam, obracając się na pięcie, i ruszyłam w głąb domu, nie przejmując się grzecznościami. – Przecież wiesz, że nie mogę.

– Wiesz, że powinnaś?

– Nie wymądrzaj się – odpowiedziałam.

Wyprzedził mnie i zatarasował swoim ciałem przejście.

– Kylie… – przeciągnął z powagą w głosie.

Sapnęłam pod nosem.

– Dobrze wiesz, że nie mogę tego zrobić. Znasz zasady, już i tak za dużo ci powiedziałam – rzuciłam nerwowo. Dean nieco się zmieszał. – Chciałam jedynie zatrzymać się u ciebie na trochę, tylko tutaj czuję się bezpiecznie. Proszę, nie naciskaj na mnie, dobrze? – dodałam nieco spokojniej.

– Nie podoba mi się to. Mógłbym ci pomóc.

– Pomóż mi inaczej niż wykonując swoją pracę.

– Czyli właściwie jak?

– Nie wiem, zrób mi jeść? – zażartowałam z wymuszeniem, śmiejąc się na siłę.

Chłopak wciąż stał w bezruchu, a na jego twarzy nie było widać ani cienia rozbawienia.

Cały czas stałam w miejscu i mu się przypatrywałam. Liczyłam, że ujrzę choćby cień wyluzowania, ale on pozostawał śmiertelnie poważny. Jadąc do niego, miałam nadzieję, że nie będę musiała wałkować tego tematu i dzięki temu pomyślę o tej sprawie na chłodno. Tyle że Dean za bardzo się mną przejmował, żeby to zignorować. Zresztą, miał zbyt silne poczucie niesienia pomocy… byłam głupia, wierząc, że informacja o zniknięciu Jasona spłynie po nim jak po kaczce.

Westchnęłam ciężko i zrobiłam krok w jego stronę. Ułożyłam dłonie na klatce piersiowej chłopaka i uniosłem głowę, by zrównać nasze spojrzenia. Dean wydawał się bardzo spięty i uważnie mi się przyglądał, jakby próbował wybadać, co jeszcze ukrywam, żeby go nie martwić.

– Wiem, że to wszystko brzmi źle. Boleśnie zdaję sobie z tego sprawę, ale muszę załatwić to sama, bez udziału policji. Mój brat nie jest świętoszkiem, sam wiesz, jak jest – powiedziałam, gładząc kciukiem materiał czarnej opinającej jego ciało koszulki. – Taką mieliśmy umowę, żadnej policji… bez względu na to, co się wydarzy. Znajdę go i się dowiem, co się stało.

– A co, jeśli szukanie Jasona okaże się niebezpieczne?

– Nie mam wątpliwości, że właśnie takie będzie. – Wzruszyłam ramionami. – Umówmy się w ten sposób, że jeśli coś mnie przerośnie, to wtedy poproszę o twoją pomoc. Teraz musisz mi

pozwolić zrobić to samej i jedyne, co możesz, to być sobą i sprawić, jak zawsze, że moje problemy chociaż na chwilę znikną. Obiecaj mi, że to zrobisz – poprosiłam.

Pokręcił z rezygnacją głową, ale po krótkiej chwili ujął dłońmi moje policzki. Zbliżył się i jeszcze przez ułamek sekundy przyglądał mi się tym swoim oceniającym wzrokiem, a następnie pochylił się i złożył delikatny, czuły pocałunek na moim czole, który dał mi więcej ciepła, niż ostatnio miałam okazję poczuć.

– Naleśniki? – rzucił niby luźno, ale w jego głosie wciąż wybrzmiewało zdenerwowanie.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością i pokiwałam głową, co sprawiło, że Dean się cofnął, wyminął mnie w przejściu i ruszył wolnym krokiem do maleńkiej, ale uroczej kuchni.

Usiadłam na blacie obok kuchenki, z nogami swobodnie zwieszonymi w powietrzu. Dean w milczeniu wziął się za przygotowanie wszystkich składników i potrzebnych naczyń. Wciąż odnosiłam wrażenie, że utknął myślami w temacie Jasona. Był zły, że nie pozwoliłam mu pomóc. Tyle że zwyczajnie nie mogłam się na to zgodzić i wciągać go w nasze bagno. Cała moja znajomość z tym chłopakiem pozostawała jednym wielkim niebezpieczeństwem, bo Dean reprezentował zupełnie inny świat. Stał po drugiej stronie barykady, co w każdej chwili mogło pogrążyć mojego brata. A nie chciałam zastanawiać się nad tym, jakiego wyboru by dokonał, gdyby musiał.

Gdy chłopak skończył przygotowywać posiłek, usiedliśmy przy stole w kuchni. Jedząc, analizowałam wszystkie możliwości zniknięcia Jasona. Postanowiłam, że po dzisiejszej walce pogadam z jego szefem. W zasadzie to z naszym szefem, ale w dwóch różnych kierunkach.

Tyron miał w sobie coś, co sprawiło, że ludzie milkli na jego widok, zanim ten zdążył coś powiedzieć. Był ogromny. Nie tylko umięśniony, on po całości przypominał olbrzyma. Miał ramiona jak z kamienia i dłonie wyglądające, jakby mogły rozgnieść czaszkę jak karton po mleku. Tatuaże wiły się po przedramionach aż po szyję, gdzie widniał napis, którego do tej pory nie udało mi się

rozszyfrować. Zawsze nosił się na czarno; czarne spodnie, czarna, opięta koszulka, czarne buty sportowe, a na szyi wisiał gruby złoty łańcuch. Ale to oczy miał najbardziej niepokojące. Ciemne, czujne, jakby patrzył prosto przez ciebie i jednocześnie oceniał, ile jesteś wart. Nie mówił dużo, ale kiedy już się odezwał, to każdy słuchał. Jego głos był niski, powolny, każde wypowiadane przez niego słowo ważyło tonę. Nie krzyczał, nie machał rękami. Zamiast tego po prostu patrzył. I czekał. A ludzie mówili więcej niż powinni, bo ta cisza okazywała się bardziej niebezpieczna niż jakakolwiek groźba.

Choć rozmowa z nim nie widniała na liście rzeczy, o których marzyłam, liczyłam, że dowiem się czegokolwiek, co pomoże mi w znalezieniu brata… lub chociaż nakieruje na jakąkolwiek poszlakę czy wskaże kierunek. Był jego szefem, Jason nie robił niczego, czego Tyron by nie zlecił, więc jeśli miał wrogów, to tylko po jakiejś akcji.

Późnym wieczorem, gdy za oknem zrobiło się już zupełnie czarno, wymówiłam się pracą, a potem wyszłam od Deana i wsiadłam do samochodu, wrzucając torbę z ubraniami do walki na tylne siedzenie, a następnie ruszyłam przed siebie.

Podziemie znajdowało się na obrzeżach miasta w jednym z wielu budynków dawnego kompleksu fabryk. Nie było żadnych znaków, żadnej tabliczki, niczego, co sugerowałoby, że to miejsce tętni życiem po zmroku. Jedynie obdrapane drzwi z grubego metalu i stara kamera zawieszona nad nimi. Kiedyś to pewnie funkcjonowało jako magazyn albo hala produkcyjna, a teraz po drugiej stronie skrywało się centrum nielegalnych walk.

Weszłam od zaplecza tak jak zawsze, przez stare drzwi serwisowe od strony załadunku – niepozorne, pordzewiałe, z zasuwą zamiast klamki. Większość ludzi nawet nie wiedziała, że da się je otworzyć. Przeciągnęłam ciężką zasuwnicę, która skrzypnęła głośno, jakby się buntowała. Wewnątrz uderzyła mnie znajoma fala zimna i zapachu oleju przemysłowego. Korytarz prowadzący do windy był wąski, oświetlony pojedynczą jarzeniówką, mrugającą co kilka sekund. W niektórych miejscach beton został odra-

pany aż do zbrojenia. Winda towarowa powinna już dawno zakończyć żywot. Zardzewiałe drzwi, siatkowana brama, której nigdy nie dało się do końca domknąć. Wsiadłam do środka i wcisnęłam guzik z numerem „–3". Mechanizm zaskrzypiał i zgrzytnął, zanim kabina zaczęła zjeżdżać. Z każdym metrem czułam, jak napięcie rośnie. Metal pod stopami drżał, ściany szybu mijały powoli, jakby wciągały mnie do innego świata. Tam na dole nie było reguł. Tylko siła, szybkość i przetrwanie.

Gdy drzwi windy rozsunęły się z ciężkim jękiem, przywitał mnie znajomy półmrok. Przede mną rozciągał się długi, betonowy korytarz prowadzący w stronę głównej sali. Zanim dotarłam do szatni, musiałam minąć ring.

Hala była ogromna, surowa i przytłaczająca. Unosił się w niej ciężki zapach kurzu, potu i krwi. Światła pozostawały przygaszone, jakby samo miejsce nie chciało zbyt wiele pokazywać. Jedynie centralna część, gdzie znajdowała się klatka, tonęła w ostrym, białym świetle. Metalowa konstrukcja stała pusta, ale ślady ostatniej walki wciąż były widoczne. Na betonie ciemniały plamy krwi. Część z nich wydawała się jeszcze świeża, inne już zasychały i łuszczyły się, przypominając starą, odpadającą farbę. Nikt nie próbował ich zmywać. Nikt nawet nie udawał, że zamierza to zrobić.

W różnych częściach sali kręcili się ludzie. Kilku technicznych sprawdzało nagłośnienie i oświetlenie. Dwóch mężczyzn z obstawy stało przy bocznym wyjściu, rozmawiając półgłosem. W rogu jeden z zawodników rozciągał się powoli, owinięty bandażami aż po łokcie. Ktoś palił papierosa, ukryty w cieniu, jakby próbował zniknąć z tej przestrzeni, ale nie mógł się zmusić, by odejść. Rzuciłam im krótkie spojrzenie, nie zatrzymując się nawet na moment.

Minęłam klatkę i przeszłam dalej, czując, jak zapach metalu i potu osiada mi na skórze, jakby był stałym elementem tego miejsca… lepką, niewidzialną warstwą, której nie da się zmyć. Skręciłam w lewo i zatrzymałam się przed szatnią. Prowadziły do niej stare, obdrapane drzwi; zamiast szyldu wisiał na nich jedynie ka-

wałek podartej, żółtej taśmy ostrzegawczej. Popchnęłam je biodrem i weszłam do środka.

Na prawo ustawione były metalowe szafki, pośrodku stały ławki z wytartym obiciem. W rogu, tuż obok drzwi prowadzących do łazienki, wisiało pęknięte lustro. Patrząc w nie, trudno było nie zauważyć, że życie zawodników w tym miejscu dzieliło się na dwie części: człowieczeństwo i bestialstwo. Obie istniały równolegle w jednym ciele, w jednej twarzy, w jednym spojrzeniu.

Byliśmy zwykłymi ludźmi z przeszłością, z imionami, z bliznami, które stanowiły dowód na to, że naprawdę istniejemy. Ale wystarczył moment, by wszystko to przestawało mieć znaczenie. Wystarczyło wejść do klatki, poczuć chłód metalu pod stopami i odór krwi unoszący się w powietrzu, by człowiek przestawał być człowiekiem.

Tam nie oczekiwano litości, emocji ani słabości. W klatce nie istniały imiona… tylko ciosy. Tylko instynkt. Bestia budziła się w ciszy, bez ostrzeżenia czy fanfar. Czekała tuż pod skórą, karmiona strachem, gniewem, desperacką potrzebą udowodnienia, że wciąż się liczymy. A kiedy już się pojawiała… nie prosiła o pozwolenie. Przejmowała wszystko.

Można to było dostrzec w lustrze. Ledwie uchwytny błysk w oczach. Subtelną zmianę w napięciu szczęki, w sposobie, w jaki ciało przestawało wyglądać jak ciało, a zaczynało przypominać narzędzie. Każdy z nas nosił to w sobie. I każdy wiedział, że jeśli chce przetrwać, musi nauczyć się przełączać między jednym a drugim – szybko, bez wahania. Tego wieczoru, patrząc na swoje odbicie w pękniętym lustrze, widziałam obie wersje siebie. Jedną, która jeszcze czuła. I drugą, która już szykowała się do walki.

Rzuciłam torbę na ławkę i się przeciągnęłam. Po chwili pochyliłam się i wyjęłam z niej ubrania oraz bandaże oraz sportowe buty. Ubrałam się szybko, bez zbędnych ceregieli. Wsunęłam na siebie czarne legginsy z matowego materiału, na górę założyłam sportowy top, też czarny, z szerokimi ramiączkami. Odsłaniał ra-

miona i plecy, napięte jak zawsze przed wejściem do klatki. Włożyłam buty, a następnie sięgnęłam po bandaże.

Zaczęłam powoli owijać lewą dłoń, palec po palcu, nadgarstek, potem znów przez środek dłoni i wokół kciuka. Ruchy miałam wyćwiczone do perfekcji. Automatyczne, niemal mechaniczne. Ale w każdym z nich była koncentracja. Bandaże przylegały ciasno, jednak nie za mocno. Musiały dawać pewność, że nic się nie rozluźni w trakcie walki, że nie stracę chwytu, nie zawaham się, kiedy przyjdzie moment. Tkanina szorstko przylegała do skóry. Pod spodem czułam stare zgrubienia na kostkach, miejsca, gdzie skóra już dawno przestała być miękka. Związałam koniec bandaża na nadgarstku, mocno, pewnie, po czym zabrałam się za drugą rękę. Tu również zaczęłam od nadgarstka, potem przez środek dłoni, między palcami – wszystko w tej samej, powtarzalnej kolejności. Ten moment zawsze dawał mi namiastkę spokoju. Jakby każdy ruch odcinał mnie kawałek po kawałku od świata zewnętrznego. Jakby z każdą warstwą bandaża zostawało coraz mniej miejsca na wątpliwości. Kiedy skończyłam, usiadłam na ławce i przez chwilę tylko wpatrywałam się w swoje dłonie. Już nie wyglądały jak dłonie kobiety. Bardziej jak narzędzia. Gotowe do pracy.

Zerknęłam jeszcze na wyświetlacz komórki, mając cichą nadzieję, że zobaczę na nim imię brata, który zawsze wspierał mnie przed walką, ale tym razem musiałam poradzić sobie bez niego. Nim zdążyłam choćby westchnąć, do pomieszczenia wpadł wściekły Tyron, rzucając mi złowrogie spojrzenie.

– Gdzie on, do kurwy nędzy, jest? – warknął ostro, aż podskoczyłam w miejscu. – Gdzie ten cholerny Jason? Spierdolił mi cztery wysoko obstawione walki…

Skrzywiłam się, bo zdałam sobie sprawę, że nici z mojego pomysłu o wypytanie Tyrona na temat brata. Wyglądało na to, że on sam nie miał o niczym pojęcia.

– Nie wiem – odparłam, wzruszając ramionami. – Ty mi powiedz, gdzie podziewa się mój brat – dodałam, unosząc lewą brew.

– Co to znaczy? – sapnął nieco zmieszany. – Masz niewyparzoną gębę, pewnie coś mu powiedziałaś i teraz…

Parsknęłam.

– Taa… – przeciągnęłam. – Złamałam mu serce, mówiąc, że wygląda brzydko w nowych spodenkach.

Na twarzy mężczyzny pojawił się cień rozbawienia.

– Poważnie, Kylie, gdzie jest Jason? Za piętnaście minut ma walkę, której nie może przegrać. Stawka jest zbyt wysoka, a ten chujek już wisi mi sporo hajsu.

– Nie wiem, poważnie. Zniknął bez śladu – wyjawiłam i przez ułamek sekundy zobaczyłam w jego oczach głęboką niepewność.

Miałam już dosyć tłumaczenia ludziom, co się wydarzyło.

– Cholera… – mruknął z powagą. Przesunął dłońmi po głowie na kark. Przez moment milczał, ale zaraz gwałtownie wycelował we mnie palcem, a od tego gestu krew odpłynęła mi z twarzy, pozostawiając po sobie lodowatą pustkę. – Weźmiesz jego walkę! – zawyrokował i obrócił się na pięcie.

– Co? – wypaliłam, zrywając się z miejsca. Od razu pobiegłam za mężczyzną. – Jak mam wziąć jego walkę, skoro czeka mnie własna? – spytałam, dorównując mu kroku.

– Chuj mnie to obchodzi. Odpłacisz mi za swoją, ale najpierw musisz wygrać tę, która należała do twojego brata.

– Przecież Jason walczy z… facetami – burknęłam, kręcąc głową.

– Masz uczulenie na fistaszki czy co, kurwa? – warknął, zatrzymując się gwałtownie. Omal na niego nie wpadłam.

Otworzyłam szeroko oczy. Nie spodziewałam się sprośnych żartów z jego ust.

– Nie, nie mam – odpowiedziałam już nieco spokojniej. – Czyli powinnam walczyć z facetem w imię swojego brata? – podsumowałam na głos.

– Wysłać ci to mailem, żebyś zyskała więcej czasu na zrozumienie?

– Trudno mi uwierzyć, że umiesz obsługiwać… – Urwałam, bo mężczyzna zgromił mnie wzrokiem. – Dobrze, już dobrze… Jaka stawka? – spytałam, unosząc głowę.

Tyron parsknął.

– Masz większe jaja niż większość zawodników. Nie pytasz, z kim walczysz, tylko za jaką stawkę?

– Potrzebuję odpowiedniej motywacji… sam wiesz, że życie nie jest tanie. – Wzruszyłam ramionami.

– Podwójna – rzucił krótko, a ja skinęłam głową, dając mu znak, że się zgadzam. – A teraz znikaj mi sprzed oczu. Walka prywatna, więc zostało ci jakieś dziesięć minut, żeby dostać się do strefy VIP, nie spierdol tego, Farley.



Rozdział II: Odwaga

Prawdziwa odwaga polega na tym, by żyć i cierpieć za to, w co wierzysz.

Christopher Paolini, „Eragon"

Ojciec uczył mnie, że odwaga nie pochodzi z ciała, lecz z silnego umysłu. Ciało zawsze może zostać pokonane, ale jeśli masz dobrą motywację, nic nie zdoła cię powstrzymać. Człowiek jest jedynie sumą wszystkich strachów, jakie tkwią w jego sercu, więc kluczem do sukcesu jest pełne wyzbycie się go. Przestałam się bać bólu, kiedy po raz pierwszy moje serce zostało rozszarpane. Kilka siniaków czy złamanych kości nie mogło w żaden sposób równać się z tym, co przynosi strata osób, które się kocha. Świadomość, że muszę przetrwać, by nie dopuścić do utraty brata, była moją największą motywacją, gdy przemierzałam korytarze podziemia w drodze na ring.

Przyspieszyłam kroku, kiedy się zorientowałam, że straciłam zbyt wiele czasu na rozmowie z Tyronem. Powinnam się rozgrzać przed walką, a nie miałam na to czasu. Pędziłam przez betonowe korytarze, aż w końcu dotarłam do drzwi, za którymi odbywały

się walki premium – najczęściej krwawe, bardzo brutalne starcia między mężczyznami. Kobiety rzadko miały okazję się tam zjawiać, chyba że któryś z gości sobie tego zażyczył. Takie walki były zazwyczaj lepiej opłacane, na co w duchu mocno liczyłam, bo desperacko potrzebowałam pieniędzy. Zresztą, nie zdziwiłabym się, gdyby Tyron podniósł stawkę z racji walki kobiety z mężczyzną, co najprawdopodobniej nie wydarzyło się nigdy wcześniej w podziemiu. Pomimo braku ogólnych reguł nikt raczej nie decydował się na walkę z płcią przeciwną ze względu na nierówne szanse.

Szarpnęłam za klamkę i kiedy tylko weszłam do środka, wszystkie spojrzenia skupiły się na mnie. W jednej chwili poczułam się bardziej oceniana niż podczas egzaminu na prawo jazdy. Każdy dopatrywał się u mnie słabości, próbował znaleźć słaby punkt. Zachowałam kamienną twarz i ruszyłam przed siebie w kierunku ringu z metalową siatką.

Pomieszczenie nie było duże, nie znajdowało się tutaj za wiele mebli; dwie długie kanapy ze skórzanym obiciem zajmowane przez kilka znajomych osób oraz tych, których nigdy nie miałam okazji poznać, regały z różnymi bibelotami oraz rząd wolnostojących szafek. Widownia skrywała swoje twarze za lustrzaną ścianą, gdzie obstawiano wygrane. To właśnie tam przelewał się gruby hajs, nierzadko płacony przez urzędników państwowych lub przedstawicieli prawa, którym brakowało w życiu adrenaliny.

– Zgubiłaś się? – spytał niski, tajemniczy głos zza moich pleców. Nie przypominałam sobie, żebym go wcześniej słyszała.

Odwróciłam się powoli, wdychając zapach, który na długo pozostanie w mojej pamięci. Dzikie połączenie drewna, tytoniu i czegoś słodkiego. Przede mną stał wysoki mężczyzna o spojrzeniu tak głębokim, że niemal się w nim gubiłam. Jego zielone oczy wbijały się we mnie z zaciętością, przez co poczułam się skrępowana. Miał na sobie luźny, czarny tank top uwydatniający atletyczne, pokryte wieloma tatuażami ciało oraz w miarę dopasowane spodnie dresowe w tym samym kolorze. Delikatnie kwadratowa szczęka napięła

się, gdy wywiercał mi wzrokiem dziurę w czaszce. Nie był przyjemny, nie próbował nawet takiego udawać. Jego twarz wyrażała niechęć w najczystszej postaci.

Czarne włosy miał dłuższe i lekko potargane na czubku, a po bokach znacznie krótsze – co tylko potęgowało przekonanie, że z tym kolesiem nie będzie lekko. Liczyłam, że nie on stanie naprzeciwko mnie w klatce. Bił od niego chłód tak bardzo przeszywający, że po mojej skórze przeszedł dreszcz.

Odchrząknęłam, biorąc się w garść.

– Nie zgubiłam, walczę za brata – odparłam słodko, mrużąc oczy. – Przyszłam tutaj, żeby obić głupią gębę jakiegoś zadufanego dupka, któremu się wydaje, że jest coś warty – rzuciłam, wbijając niepokornie spojrzenie wprost w zielone tęczówki.

Chłopak zaśmiał się zadziornie, splatając dłonie na karku, co jedynie podkreśliło jego mięśnie ramion. Uśmiech miał cyniczny i pełen jadu, ale mimo wszystko odnosiłam wrażenie, że coś się w nim zmieniło. Zniknął chłód, a w oczach odbiło się coś znajomego, ale również niepokojącego.

– Urodziłaś się taka pyskata czy brak ogłady wyssałaś z mlekiem matki? – zapytał, wciąż uśmiechając się w ten cyniczny i pogardliwy sposób.

– To mój system obronny przeciwko szowinistycznym świniom, które traktują kobiety jak ozdoby do swoich fotek na Instagramie. Wyrobił się przez lata praktyki – odparłam z pełnym przekonaniem, jakby nie było bardziej racjonalnego wytłumaczenia.

– To jedno pytanie popchnęło cię do wysnucia teorii o tym, że jestem szowinistą? – Uniósł wysoko brwi, rzucając mi oceniające spojrzenie.

– A nie to miałeś na myśli? – drążyłam nieco zmieszana, choć wciąż bojowo nastawiona.

– Uspokój się z tą pseudofeministyczną postawą. Mizandria jako ochrona przed szowinizmem to zamknięte koło, rodzące spiralę nieuzasadnionej nienawiści. – Patrzył na mnie z miną wykładowcy filozofii przekazującego mi życiową lekcję. – Tę bojową postawę możesz wykorzystać na ringu, skoro tu trafiłaś, bo prze-

ciwnik już czeka, Farley – dodał, mijając mnie w przejściu z gracją, jakby właśnie wygrał złoty medal za najlepszą wymianę zdań.

Otworzyłam szeroko oczy, odkrywając, że istnieje coś, co naprawdę może mnie zaskoczyć. Sprawił, że do głowy napłynęły delikatne zaczątki wyrzutów sumienia, ale nie to było najbardziej szokujące. Znał moje nazwisko. Skąd, do cholery?

Obróciłam się na pięcie, rzucając przelotne spojrzenie na salę, chcąc zlokalizować nieznajomego, ale on gdzieś zniknął, a wysoki, wielki jak dąb facet łypał na mnie z ringu.

Skrzywiłam się. *Świetnie…*

Mój przeciwnik wyglądał jak chodzący dowód na to, że Matka Natura czasem robi sobie żarty. I to takie mocno suche. Miał wielkie łapy, kark nienaturalnie szeroki i spojrzenie, które mogłoby zatrzymać pociąg towarowy w pełnym rozpędzie. Ubrany był w czarne spodenki i ochraniacze wyglądające, jakby błagały o chwilę wytchnienia od jego mięśni. Na klatce piersiowej, oczywiście, czaszka. Bo przecież nie może obyć się bez znaku, który subtelnie zwiastuje, że za moment będzie miał ochotę rozgnieść mnie jak komara na ramieniu w letni wieczór.

Cholerny Tyron… że też się na to zgodziłam. Nie podejrzewałam, że wyśle mnie do jednej klatki z Robocopem.

Zaciągnęłam się powietrzem tak, jakby to miało mi pomóc przestać kalkulować, ile minut lub sekund, życia mi pozostało, zanim zostanę powalona przez jego łokieć. Serce tłukło mi w piersi, jakby zaraz mogło wyskoczyć, a dłonie zaczęły delikatnie drżeć. Tyle z mojej odwagi. Musiałam liczyć na cud i zgrywać bohaterkę. Może zdołam osłabić jego morale swoją pewnością siebie.

Na sali wrzało. Okrzyki, gwizdy, poklepywanie się po plecach i testosteron w powietrzu tak gęsty, że dało się go kroić nożem. W kącie jakiś koleś zakładał rękawice, obok dwóch innych prowadziło coś, co wyglądało na filozoficzną debatę o najlepszej technice nokautu. Pachniało potem i metalem.

Stanęłam w wejściu do klatki. Z pozoru pewna siebie. W praktyce… cóż, moje ego zahaczyło o dno, w pełni pokonane przez to, co widziałam przed sobą.

No dobra, Kylie. Nie panikuj. Przecież lubisz wyzwania… Dasz sobie radę.

Wystarczyło skupić się na jego słabych punktach. Na pewno brakowało mu szybkości i zwinności, czego mi akurat nie można było odnowić. Musiałam zatem wykorzystać swoje atuty i nie pozwolić mu się dorwać. Mogłam go zwyczajnie męczyć, a potem wykończyć, kiedy już nie będzie miał siły.

Stanęłam na środku. Wzięłam głęboki oddech i powoli wypuściłam z ust powietrze. Serce trochę zwolniło swój rytm, a w głowie rozległa się jedna myśl, klarowna jak nigdy: *Nie daj się zabić. A jeśli już, to przynajmniej zrób to z przytupem*.

W standardowym repertuarze walk na ringu głównym punktem pozostawały zapowiedzi. Kilka durnych słów o zawodnikach, ale tutaj, gdzie publiczność skryła się za lustrzaną ścianą, nie było o tym mowy. Nim zdążyłam cokolwiek zrobić lub choćby pomyśleć, usłyszałam gong, a następnie zobaczyłam pędzącego w moją stronę niedźwiedzia, który przy każdym kroku wprawiał ziemię w drżenie.

Zaczęło się.

Ruszał się pewnie i zaskakująco zwinnie jak na kogoś, kto wyglądał jak czołg. Trzymał gardę wysoko, oczy miał skupione, gotowe zmiażdżyć mnie samym spojrzeniem. Nie zapowiadało się na jakąkolwiek finezję. Był nastawiony na ostre, brutalne starcie. Jego ciało przypominało buldożer bez hamulców, o czym przekonałam się, kiedy zaatakował pierwszy.

Prawy sierpowy został wymierzony we mnie z niebywałym zamachem, ale zdążyłam się odsunąć. O włos nie trafił, bo tuż obok ucha usłyszałam świst. Drugiego uderzenia nie udało mi się uniknąć; ból w barku rozlał się po ciele, powodując, że na moment straciłam rezon. Zanim zdążyłam odetchnąć, wbił olbrzymie kolano w moje żebro. Zgięłam się i syknęłam, oblana zimnym potem. Cofnęłam się, zachłystując powietrzem i warknęłam pod nosem kilka niecenzuralnych słów.

Zaraz wyrósł z ziemi, a jego ciało rzuciło na mnie cień. Złapał mnie w talii jak nic nieważącą lalkę i uniósł, po czym dosłownie

rzucił mną o metalową siatkę ringu. Zacisnęłam palce na zimnym materiale. Niespodziewanie zrównałam się ze znajdującym się kilka centymetrów od mojej twarzy chłopakiem. Zielone oczy wbiły się we mnie i niemal mogłam w nich wyczytać, że się zgubiłam. Uśmiechnął się cwaniacko, ale nawet nie drgnął.

Nie lubiłam przegrywać. Zwłaszcza wtedy, gdy ktoś wyczekiwał mojej porażki. Założyłam na twarz kamienną maskę.

Następny cios minął mnie o centymetry, a ja zanurkowałam w bok, nisko, jakby ktoś przeciął mi nogi. Zatrzymałam się przy stopach przeciwnika i wtedy zobaczyłam swoją szansę. Jego prawa stopa lekko drgnęła. Malutki ruch, który dla przeciętnego oka znaczyłby tyle co nic. Dla mnie stanowił jednak dzwonek alarmowy. Nie miał pełnego oparcia. Prawdopodobnie przez stary uraz albo po prostu nie dbał o równowagę. Ścięgno Achillesa było napięte jak struna, a wzdłuż skórę zdobiła gruba blizna. To wystarczyło.

Uderzyłam szybko i precyzyjnie w jego słaby punkt. Zgiął się wpół, a noga mu zadrżała. I wtedy, zanim zdążył zareagować, kopnęłam go w kolano drugiej nogi, przesuwając ciężar ciała mężczyzny dokładnie tam, gdzie nie miał żadnego podparcia. Wyrżnął o ziemię z hukiem, a ja miałam wrażenie, jakby cały ring się zakołysał.

Wyskoczyłam na niego jak dzikie, rozjuszone zwierzę. Usiadłam na jego plecach, przyciskając kolanem łokieć do maty. Szarpał się i próbował mnie zrzucić, ale zaczęłam bić łokciem w jego bok. Mocno, rytmicznie. Przestał się spinać. I wtedy przeszłam do końca.

Zsunęłam się na bok, przetoczyłam i objęłam go jak wąż. Nogi owinęłam wokół tułowia przeciwnika, jedną rękę wsunęłam pod szyję, drugą zatrzymałam na potylicy. Ścisnęłam z całych sił i zaraz poczułam jego napięcie oraz rozpaczliwe próby złapania powietrza. Ale nic z tego. Noga drżała mu z bólu – ścięgno Achillesa nie wybacza. Nie miał już możliwości walczyć.

Uśmiechnęłam się. Tak tylko delikatnie.

Po chwili do moich uszu dobiegł dźwięk triumfu. Olbrzym odklepał, przerywając walkę. Rozbrzmiał gong kończący starcie, więc z bólem w żebrach zeszłam z mężczyzny i pokracznie podniosłam się na równe nogi, przyciskając dłoń do bolącego miejsca. Automatycznie i zupełnie nieplanowanie, moje spojrzenie powędrowało do kolesia, którego spotkałam przed walką. Miał na twarzy półuśmiech dodający mu tajemniczości. Ciężko oddychałam, bolało mnie ciało, ale uczucie satysfakcji skutecznie blokowało wszystkie inne bodźce.

Tyron stał przy wejściu z dłońmi schowanymi w kieszeniach spodni. Patrzył na mnie z zadowoleniem, co jedynie nakręcało moje ego. Gdy podeszłam bliżej, od razu wyciągnęłam w jego kierunku rękę, a on w odpowiedzi uniósł wysoko brwi. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, ale już po chwili podał mi zwitek banknotów niewiele grubszy od tego, który zazwyczaj dostawałam po zwykłych walkach.

Zmarszczyłam czoło, wgapiając się w jego niepokorne oczy. Chyba sobie żartował.

– Wy, Farleyowie, jesteście tacy sami… Nic was nie odróżnia, dosłownie nic. Oboje macie jaja ze stali, ale również olbrzymi tupet.

Sapnęłam pod nosem i przewróciłam oczami.

– Wiem, ile pieniędzy Jason przynosi do domu, więc nie rób sobie jaj – powiedziałam z powagą. – Założę się, że nikt mnie nie obstawił, co oznacza, że na tej walce zbiłeś niezłą sumkę. Zapłać mi należną kwotę i będziemy kwita – zażądałam bezdyskusyjnie.

Kątem oka widziałam, że Mason stał z tyłu, przyglądając się nam z cienia. Kiwnęłam głową, dając mu znak, by zaczekał.

Tyron z niezadowoleniem sięgnął po kolejny rulonik dolarów i rzucił go na moją otwartą dłoń, jakby robił mi jakąś łaskę, a to zwyczajnie mi się należało. Bez słowa wcisnęłam pieniądze do stanika i ruszyłam w kierunku Masona i równocześnie szatni.

– Dobrze ci poszło – stwierdził, gdy pojawiłam się blisko niego. – Chciałem wziąć tę walkę za Jasona, ale Tyron się nie zgo-

dził. Mówił, że już kogoś ma, ale nie sądziłem, że padło na ciebie… – Przyjrzał mi się badawczo. – Nic ci nie jest?

– To nic, przynajmniej zarobiłam na nowy zamek do drzwi. – Zaśmiałam się gorzko. – Trochę boli mnie… wszystko – dodałam z grymasem. – Ale przejdzie. Ból zawsze przechodzi.

Mina chłopaka sugerowała, że się martwił. Cały czas wydawał się w gotowości, by mnie złapać, jeśli miałabym upaść, lecz na to się nie zanosiło. Ruszyłam pewnym krokiem w stronę szatni, a on poszedł za mną.

– Już wymieniłem zamek – rzucił luźno.

Spojrzałam na niego z zaskoczeniem, ale uśmiechnęłam się z wdzięcznością.

– Dziękuję, oddam ci pieniądze.

– Nie trzeba. Wiem, że Jason nie wybaczyłby mi, gdybym się tobą nie zaopiekował.

Wciągnęłam do ust powietrze nasycone zapachem metalu i potu. Nie trzeba było się mną opiekować. Radziłam sobie, ale jeśli Mason miał potrzebę zgrywania bohatera, to nie pozostało mi nic innego, niż po prostu mu na to pozwolić. Zdawałam sobie sprawę z tego, że on również martwił się o mojego brata. W końcu byli przyjaciółmi, odkąd pamiętam, więc mógł czuć powinność zajęcia się mną.

– Ten chłopak… – przeciągnęłam niezręcznie – który stał przy ringu… Ciemne włosy, tatuaże… – Usiadłam na ławce, sięgając do torby po bluzę. – Kim on jest? – spytałam, nie patrząc na Masona. Było mi trochę głupio, nie chciałam, żeby moja ciekawość została źle odebrana.

– Alex – mruknął krótko, z niechęcią. – Jest prawą ręką Tyrona. Był tu zapewne, by kontrolować sytuację. A co? Masz z nim jakiś problem? – Wyraźnie się spiął. Schował ręce do kieszeni bluzy i napiął barki. Chyba się nie lubili.

Pokręciłam przecząco głową i założyłam na siebie czarną kangurkę z nieco rozciągniętymi rękawami i spranym kolorem.

– Nigdy wcześniej go nie widziałam – odparłam sucho i wstałam, co wygenerowało nową falę bólu. Od razu złapałam się za żebra i syknęłam.

Mason skrzywił się i zrobił krok w moją stronę.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? Nieźle ci przywalił. Ktoś powinien cię zbadać, Kylie.

– Dobrze, już dobrze. Jutro pójdę do lekarza – skłamałam.

Nie miałam siły się przebierać, więc po prostu pozbierałam swoje rzeczy i skierowałam się do wyjścia. Spojrzałam na wyświetlacz komórki i widząc wiadomość od Deana, wzięłam głęboki oddech. Było już późno, dlatego zrobiło mi się głupio, że chłopak wciąż czekał na mój powrót. Jednak myśl o powrocie do domu, gdzie znowu zastanę cały ten bajzel i krew, sprawiła, że żołądek zwinął mi się w ciasny węzeł. Mason odprowadził mnie na parking, ale został jeszcze w klubie, bo miał swoją walkę. Zanim wsiadłam do samochodu, rozejrzałam się po okolicy. Nocą było tu bardzo nieprzyjemnie, wyobraźnia podsuwała mi niezliczone obrazy tego, co czaiło się w ciemności.

Oparłam przedramiona na dachu Malibu. Przytłoczyło mnie wszystko wokoło. Nie wiedziałam, gdzie szukać Jasona, a odnosiłam wrażenie, że każda mijająca minuta to zwyczajne marnowanie czasu. W tej chwili mój brat mógł walczyć o życie albo właśnie tę walkę przegrywać.

Z zamyślenia wyrwał mnie ostry warkot silnika i oślepiające światło reflektorów. Czarny motor Suzuki Hayabusa wyłonił się z wnętrza budynku i przejechał przez bramę wjazdową, która zaraz ponownie się zamknęła. Kierowcą wyraźnie mi się przyglądał, skryty za czarnym kaskiem. Skórzana kurtka idealnie opinała ciało i nawet pod jej materiałem dało się zauważyć, że tajemniczy mężczyzna jest dobrze zbudowany. Obróciłam się przodem, opierając plecy o swój samochód. Skrzyżowałam ręce na wysokości piersi i czekałam, aż przestanie się na mnie gapić… Zamiast tego jednak on ruszył w moją stronę i zatrzymał się tuż obok. Zdjął kask i ponownie tej nocy ukazał zielone tęczówki.

– Chciałeś mi pogratulować dobrej walki? – rzuciłam, kiwając do niego głową.

Uniósł kącik ust, ale nie odpowiedział od razu. Wsunął kask pod ramię i powoli podszedł bliżej. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości, chociaż i tak bliżej, niż bym sobie życzyła.

Uśmiechnął się półgębkiem. Podarował mi ten typ uśmiechu, który potrafi wyprowadzić z równowagi bardziej niż jakikolwiek komentarz.

– Sprawdzam tylko, czy po tylu ciosach masz jeszcze siłę na dowcipy. – Spojrzał na mnie uważnie.

– Zawsze mam. To jakiś problem?

– Jeszcze nie – mruknął i zbliżył się o krok. – Ale Tyron nie ma poczucia humoru, w przeciwieństwie do ciebie.

– Serio? A wygląda na urodzonego kabareciarza.

Prychnął rozbawiony, choć próbował to ukryć.

– Gdzie jest Jason? – spytał, zamiast pociągnąć moją zaczepkę dalej. W jego głosie wybrzmiała powaga, która sprawiła, że po kręgosłupie przeszły mi dreszcze.

Westchnęłam teatralnie.

– Brzmisz tak, jakbym go ukrywała w bagażniku. Nie wiem. Zniknął…

Zawahał się, ale jego spojrzenie zrobiło się bardziej miękkie.

– Masz zbyt cięty język jak na kogoś, kto ledwo stoi – zauważył, patrząc znacząco na moje żebra.

– Przewaga mojego języka polega na tym, że działa niezależnie od reszty ciała.

Zamilkł na chwilę, ale w jego oczach zatańczył cień uśmiechu. Chyba zaczynałam go bawić, a może irytować. Albo jedno i drugie.

– Tyron jest wkurwiony. Jason swoim zniknięciem zawalił nie tylko walki, ale również resztę roboty. Ktoś będzie musiał posprzątać jego bałagan.

Przetarłam dłońmi twarz.

– Słuchaj, nie mam pojęcia, gdzie jest mój brat. Sama chciałabym to wiedzieć. W każdym razie… liczę, że go szybko znajdę.

Patrzył na mnie z żałosnym politowaniem, jakby wiedział więcej niż ja. Jakby już skreślił Jasona z listy abonentów życiowych… a to bardzo mnie zirytowało. Milczał, choć jego oczy wyrażały więcej niż tysiąc słów. Nie wierzył, że go znajdę. A może wiedział, że nie ma czego szukać? Może brał udział w tym, co się wydarzyło?

W końcu skinął obojętnie głową i nałożył na nią kask, a następnie wsiadł na motor. Nie rzucił żadnego zgryźliwego komentarza ani się nie pożegnał. Po prostu ruszył przed siebie, a po chwili zniknął za horyzontem.

Westchnęłam ciężko i wsiadłam do swojego samochodu. Przez moment patrzyłam pustym wzrokiem w budynek podziemia. Kiedy zostałam sama, zrobiło się ciężko. Poczułam niemoc związaną z Jasonem. Bez niego stałam się cholernie samotna, mimo że wokół kręciło się mnóstwo osób. Nikt jednak nie rozumiał mnie tak jak on. Nikt nie wiedział, co skrywała moja dusza. Tylko on jeden był w stanie dojrzeć to, co głęboko ukryte przed światem.

Przetarłam dłońmi twarz i doszłam do wniosku, że to dobry moment, by się zmyć i choć chwilę przespać się przed zajęciami na uczelni. Odpaliłam silnik i ruszyłam w kierunku domu Deana. Nie mogłam znaleźć sobie wygodnej pozycji za kierownicą, bo nadal bolało mnie ciało po starciu z Hulkiem. Jadąc, starałam się palcami wymacać swoje żebra, by mieć pewność, że nic się nie złamało. Choć nie byłam lekarzem, to przeżyłam masę podobnych urazów i już wiedziałam, na co zawracać uwagę. Wydawało mi się, że ból, jaki czułam, to kwestia obitego ciała, nic poważniejszego. Ciepły prysznic i odpoczynek zdecydowanie pomogą. Choć o tym drugim trudno było myśleć, ponieważ za kilka godzin musiałam już wstać, żeby zdążyć na zajęcia. Stypendium, dzięki któremu mogłam studiować, pozostawało niezbędne, a jeśli zacznę opuszczać wykłady… cóż, krótka droga do utraty finansowania.

Jakiś czas później zaparkowałam przed domem policjanta i przeszłam przez bramkę. Dean obiecał, że zostawi mi klucz pod wycieraczką, i gdy tylko się schyliłam, miliardy igieł wbiło mi się w skórę. Jęknęłam, natychmiast się prostując.

– Kurwa – rzuciłam w powietrze, biorąc głęboki oddech.

Przede mną otworzyły się drzwi, a w nich stanął zaspany chłopak. Miał na sobie luźne szorty i nic więcej. Jego klatka piersiowa została wystawiona na pokaz. Bardzo przyjemna dla oka.

– Wszystko w porządku? – spytał, mrużąc lekko oczy. Miałam wrażenie, że ma w nich skaner, którym właśnie bada moją prawdomówność.

– Jestem zmęczona – powiedziałam i była to półprawda. Faktycznie padałam z nóg, ale głównie doskwierał mi ból.

Uśmiechnął się niesamowicie podejrzanie. Jego oczy wciąż pozostawały czujne, śledził każdy mój ruch, gdy wchodziłam do środka. Próbowałam przy tym wyglądać na rozluźnioną i iść w miarę prosto, żeby niczego nie zauważył.

Ostatecznie Dean odpuścił przesłuchanie, dzięki czemu mogłam w spokoju udać się pod prysznic, gdzie spędziłam dłuższą chwilę, stojąc pod strumieniem wody. Jej ciepło nieco ukoiło ból, a na pewno pomogło na spięte mięśnie. Później położyłam się do łóżka i wtuliłam w plecy chłopaka.

Na wpół śpiąco wymacał po omacku moją dłoń i przyciągnął ją bliżej siebie, a następnie nakrył swoją dłonią. Mogłabym do tego przywyknąć. W takiej pozycji pozostaliśmy aż do rana, gdy nasze budziki rozdzwoniły się na dobre, zmuszając nas do pobudki. A ja wcale nie miałam na to ochoty. Myśl o powrocie do niewygodnej rzeczywistości trochę mnie przerażała. U Deana czułam się dobrze… bezpiecznie, a kiedy tylko myślałam o rozstaniu, wiedziałam, że równocześnie będę musiała zmierzyć się z tym, co nieznane, i podjąć jakieś kroki w celu odnalezienia brata lub chociażby dowiedzenia się, co się stało.

Wiedziałam też, że nie powinnam narażać chłopaka na niebezpieczeństwo. Nie chciałam wciągać go w tę jedną wielką niewiadomą. Jego kompas moralny był na zdecydowanie wyższym poziomie od mojego, więc to też stanowiło przeciwwskazanie.

Podczas kiedy on zniknął w łazience, postanowiłam przygotować śniadanie. W międzyczasie również przygotowałam się na zajęcia; sprawdziłam aktualny plan, odświeżyłam materiał i na-

pisałam krótką wiadomość do przyjaciółki, prosząc ją, by zaczekała na mnie przed głównym wejściem do uczelni.

Przebrałam się w świeże ciuchy i nieco ogarnęłam wizerunek. Nie miałam ani czasu, ani tym bardziej ochoty na strojenie się, więc ograniczyłam się do delikatnego makijażu i związania prostych, czarnych włosów w koński ogon.

Po zjedzonym śniadaniu wyszliśmy z domu. Dean wsiadł do swojego Dodge'a Chargera, a ja zniknęłam za kierownicą Malibu. Podczas posiłku zdążyliśmy wymienić zaledwie kilka zdań, ale przynajmniej dzięki niemu byłam w stanie odciągnąć myśli od nieprzyjemnych spraw.

Ruszyłam w drogę na uczelnię, pogłaśniając nieco radio, bo akurat z głośników wypływały dźwięki, które lubiłam. Kiedy dojechałam na miejsce, okazało się, że to ja musiałam zaczekać przy wejściu na przyjaciółkę.

Dulce pojawiła się w moim życiu zupełnie przypadkiem, ale od tamtej pory nie wyobrażałam sobie, żeby mogło jej w nim nie być. Miała w sobie coś, co sprawiało, że od razu chciało się spędzać z nią czas – niewymuszoną swobodę, lekkość bycia, ten błysk w oku, który mówił, że życie to jedna wielka przygoda.

Nie była idealna. Często się spóźniała, miała talent do gubienia rzeczy i jeszcze większy do pakowania się w kłopoty. Ale cechowała się czymś, czego nie spotyka się często – lojalnością. Jeśli Dulce mówiła, że będzie obok, nie wątpiłam, że dotrzyma słowa. Nawet jeśli musiałaby przyjść z rozmazanym makijażem i jednym butem na stopie. Przypominała huragan w życiu, które próbowałam trzymać w ryzach.

Nosiła sprane bluzy, gryzła końcówki długopisów i zadawała pytania, na które nie zawsze chciałam odpowiadać. Dzięki niej jednak zrozumiałam, że czasami najlepsze rzeczy trafiają się wtedy, gdy najmniej ich szukasz.

– Dziewczyno! – pisnęła Dulce, biorąc się dosłownie znikąd. Obróciłam się gwałtownie do tyłu i natrafiłam na nią spojrzeniem. – Ale żeś mi narobiła wczoraj stracha… Co to miało być? – Skrzyżowała ramiona na piersi.

Miała na sobie legginsy i luźną szara bluzę z kapturem. Jej brązowe włosy jak zwykle pozostawały w nieładzie, jakby dziewczyna zapomniała je uczesać… od tygodnia. To jednak nie sprawiało, że wyglądała niechlujnie. Wizerunek przyjaciółki kojarzył się bardziej ze zwariowaną postacią malarki, która traci czasem kontakt ze światem zewnętrznym.

I znowu muszę się tłumaczyć.

– Wybacz, Luce… – odparłam z grymasem. – Sprawy rodzinne.

Dziewczyna spojrzała na mnie jak na kogoś, kto postradał wszystkie zmysły. Już wiedziałam, że zaraz padnie niewygodne pytanie.

– Czyli, że co? Jason przypalił zupę i musiałaś interweniować? – Uniosła zadziornie brwi.

Przewróciłam oczami. Z nią tak właśnie było… sprawy osobiste szybko przestawały być… osobiste.

– Chodź, potem ci opowiem. Jesteśmy już spóźnione, a kolejny raz wymówka o wnoszeniu zakupów staruszce na siódme piętro w ostatniej chwili nie przejdzie – mruknęłam i objęłam ją ramieniem, równocześnie pociągnęłam ją w kierunku budynku.

Jej piwne oczy zmrużyły się badawczo, ale wydała z siebie jedynie głębokie westchnienie i pozwoliła mi, żebym zaciągnęła ją na zajęcia.

Luce jako specjalizację wybrała psychologię kliniczną. Jako osoba z pozytywnym podejściem do wszystkiego, co ją otacza, najpewniej sprawdzi się w roli terapeutki niemal idealnie. Ja natomiast ze swoim marnym podejściem do ludzi nie miałabym na to szans, więc odpuściłam sobie już na etapie zastanawiania się, co chcę robić w życiu, bo na pewno nie leczyć innych. I właśnie ze względu na to zdecydowałam się na psychologię sądową. Mimo różnych specjalizacji chodziłyśmy wspólnie na zajęcia, a przynajmniej na pewną część.

W sali było cicho. Kilka osób sączyło kawę, inni udawali, że powtarzają materiał z ostatnich zajęć, choć w rzeczywistości przeglądali portale społecznościowe. Usiadłyśmy na naszych stałych

miejscach pośrodku auli, tak by nie rzucać się za bardzo w oczy, a jednak wszystko wyraźnie widzieć i słyszeć.

Dulce wyjęła swój zeszyt, jeśli można to tak nazwać, bo przypominał bardziej zbiór luźnych kartek. Już po chwili bazgrała coś na marginesie. Zerknęłam kątem oka. Tym razem był to niedźwiadek… chyba. Na hulajnodze, z okularami przeciwsłonecznymi i grubym, złotym łańcuchem na szyi.

– Co to? – szepnęłam.

– Przywódca miejskiego gangu handlującego narkotykami – oznajmiła z dumą. – Ma na imię Salvador.

Parsknęłam cicho.

– Powiesz mi potem czy znowu zaczniesz się migać? – rzuciła, zmieniając temat, a przy tym nie przerywała rysowania.

Taka właśnie była Dulce… pozornie rozkojarzona, wiecznie niby zamyślona, ale miała radar na tajemnice. Potrafiła ukryć pytanie pod żartem albo udawać, że zapomniała…, ale nie zapominała. Nigdy. Wracała do tematu w najmniej odpowiednim momencie, kiedy człowiekowi się wydawało, że ma to już z głowy.

– Powiem. – Westchnęłam przeciągle, zerkając w kierunku drzwi. – Ale nie tutaj.

– Czyli coś poważnego – mruknęła, notując coś pod Salvadorem.

– To po prostu… skomplikowane – ucięłam.

Z Dulce trzeba było uważać. Gdyby tylko chciała, mogłaby zostać najbardziej wnikliwą śledczą w tej części świata. Wyciągała z ludzi prawdę z taką gracją, że nawet się nie orientowali, że już ją powiedzieli.

W końcu do sali wszedł prowadzący i z hukiem odłożył papiery na biurko. Był zmęczony, jakby od kilku dni nie zmrużył oka.

– Dziś omówimy przypadek seryjnego mordercy, który przez lata działał niemal niezauważenie, a ukrywał się w najbardziej nieoczywistym miejscu… na widoku – rzucił, nie bawiąc się w powitania. – Był charyzmatyczny, inteligentny, przystojny, studiował prawo i zupełnie nie pasował do stereotypu „potwora". Czy ktoś wie, o kim mowa?

Uniosłam głowę, krzyżując spojrzenie z profesorem. Na jego twarzy pojawił się ledwie widoczny uśmiech, ale taki… zawzięty. Jakby już planował, że kogoś pogrąży albo co najmniej złapie na tym, że czegoś nie wie. Chodziło o pokazanie wyższości. Czasem się zastanawiałam, czy wszyscy ci wykładowcy nie szukają wśród nas kogoś, kto mógłby wykazać się lepszą smykałką do zaglądania w cudzy umysł, tylko po to, by na starcie utrzeć potencjał.

– Pani Farley? – rzucił z nieco szerszym uśmiechem. Przysiadł na brzegu biurka po jego zewnętrznej stronie i splótł przedramiona.

Zaśmiałam się w duchu.

– Na podstawie wymienionych cech obstawiałabym, że omawianym mordercą będzie Bundy – powiedziałam z niewymuszoną pewnością w głosie.

– Zgadza się – przyznał spokojnie. – Dlaczego według ciebie nikt nie rozpoznał w nim zagrożenia?

– Bo nie wyglądał jak zagrożenie – odparłam krótko.

– Uważasz, że zło ma swój kształt, kolor, zapach? Lub po prostu narzucony z góry wygląd?

Teraz to ja się uśmiechnęłam.

– Uważam, że ludzie są zbyt leniwi, by patrzeć głębiej. Ted Bundy sprawiał wrażenie chłopaka, z którym można wybrać się na kawę, a nie takiego, który morduje kobiety. To wynik tego, że swoją charyzmą potrafił uśpić intuicyjne poczucie zagrożenia wśród jego ofiar i publiki.

– Czyli sugerujesz, że wina leży po stronie społeczeństwa? – Uniósł brwi i zrobił taką minę, która towarzyszy człowiekowi, gdy przyjmuje wyzwanie.

– Wina nie… raczej ślepota zorganizowana – rzuciłam sucho.

– Psychologia tłumu?

– Dokładnie. Wszyscy ludzie patrzą i czekają na to, co zrobią inni. A jeśli nikt nie reaguje… to znaczy, że wszystko jest w porządku. Bundy to wykorzystał, bo był inteligentny.

– Zatem twierdzisz, że jego największa bronią nie była siła, tylko ludzka pasywność?

– Może nawet nie pasywność. Potrzeba komfortu i spokoju. Człowiek lubi, kiedy rzeczy są proste. Kiedy ktoś wygląda jak dobry człowiek, to pozwalamy sobie w to wierzyć.

– Zaskakująco cyniczne podejście jak na tak młodą osobę – stwierdził, ale kiwnął z uznaniem głową. – Jednak również bardzo realistyczne. Moi drodzy, morał tej dyskusji jest taki, że nic nie wygląda na takie, jakim może się wydawać, a zagrożenie może znajdować się niebezpiecznie blisko nas. Może nawet tuż obok? Tylko z wygody nie chcemy przyznać, że tak jest.

Jego słowa jakoś we mnie uderzyły. Zważywszy na sytuację, w której się znalazłam, wydało mi się, że cały świat i każdy człowiek w moim otoczeniu mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Jasona. Może prawda była na wyciągnięcie ręki, ale ja pozostawałam zbyt ślepa, by ją dojrzeć?